

Lech Witkowski

Genius loci Torunia : między dziedzictwem i odpowiedzialnością

Rocznik Toruński 25, 9-18

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Genius loci Torunia: między dziedzictwem i odpowiedzialnością

Lech Witkowski

Wśród kryteriów wymagających spełnienia przez miasto aspirujące do wpisu na „Listę światowego dziedzictwa” tytułowa kategoria tych rozważań – *duch miejsca* – nie występuje, choć to ona właśnie, przynajmniej od czasów romantycznego myślenia o czasie i przestrzeni, często jest traktowana jak klucz do „tajemnicy”, „aury” czy wyjątkowości, z jaką przeszłość zamieszkuje w danej, lokalnej teraźniejszości kulturowej.

Duch miejsca nie bierze się znikąd i nie wydaje się, aby mógł przetrwać w każdych warunkach. Dźwiga go dziedzictwo, ożywia go odpowiedzialność za przyszłość – bez tej dwoistej filozofii miasta jego byt byłby zagrożony martwością, wyjałowieniem, prowincjonalnością, a z czasem wręcz barbarzyństwem, których przykładów tyle mamy wokół; wszędzie tam, gdzie życie kultury nie jest (nie było) integralnie włączone przez lata, ba, przez wieki w kulturę życia miasta, tam z czasem inaczej się myśli, inni ludzie zaczynają częściej stanowić rezerwuwar elit, tam też łatwiej o grę pozorów, o zastępcze przedmioty spalania emocji i potencjału twórczego. Dochowywanie wierności „duchowi miejsca” to nie tylko gest wspaniałomyślności historycznej, ale dramatycznie doniosła szansa kreowania oblicza miasta na miarę jego nowoczesności, zakorzenionej w historii, wyrosłej z historii ponad nią. I tak jak z autentyczną relacją mistrza i ucznia – tylko wyrastanie ponad historię jest dochowywaniem jej wierności, na jej miarę. Wierność to nietatwa, jak ostatnio uwypuklił to redaktor Jerzy Giedroyc w paryskiej *Kulturze*, odnotowując groźbę zatrądy polskiego oblicza na toruńskim pasażu śródmiejskim przez przytłoczenie ulicy Szerokiej obcojęzycznymi napisami, łącznie z usunięciem nad starą apteką napisu „radziecka” – który choć rdzennie powiązany z polskim słowem „rada”, komuś widać kojarzył się z „sowiecki”.

Jak trafnie zauważył Stefan Chwin (por. Tytuł, nr 3-4, 1997), kluczowym pożytkiem z symbiozy historii i terażniejszości jest wzajemne żywienie się sobą wyobraźni i ducha miejsca, mobilizowanie odwagi do istnienia „poszczególnego” przeciw duchowi „ujednoczenia”, podporządkowania czemuś jednemu, ogólnemu, obowiązującemu; to utwierdzenie prawa do upominania się o różnicę, do afirmacji odmienności wynikłej z losu, przelanej krwi, przenoszącej wspomnienie, a bywa i mit zakorzenienia. Nostalgia za „małą Ojczyzną”, przeciw poczuciu bycia nie u siebie, za wartością przynależności i poczuwania się do odpowiedzialności za skrawek ziemi (a to wyraża u nas różnorodnie przejawiający się „mit Kresów”) – to ogniwa kondycji ludzkiej, tym bardziej zdaje się rosnące na znaczeniu w konstytucji człowieka, im bardziej jednostka podlega przemieszczeniom, bywa wrzucana w świat jej obcy i nie z własnego wyboru czy nadania, jak w historii polskiej bywało. Poszukiwanie dla siebie *genius loci* staje się ogniwem strategii egzystencjalnych, łącznie z ryzykiem wędrowki w inny świat, który potrafi tchnąć życie w inaczej jałową czy bezwartościową egzystencję. Miejsce zamieszkania bez owego „ducha” bywa odczuwane jako więzienie, przekreślenie szans i marzeń, czy tylko możliwości spełnienia się. Jest ugiem, a nie polem do popisu. Tymczasem zmierzanie się z wyzwaniem *genius loci* może być istotnym mechanizmem kształtowania tożsamości zbiorowej i jednostkowej bądź skazuje na poczucie rozproszenia i bezwartościowości losu, ból oderwania od korzeni (np. przez naruszenie i lekceważenie grobów) albo przeciwnie, pozwala na mobilizującą do działania poczucie bycia u siebie. Zawsze jednak, jak się wydaje, los „ducha miejsca” przekłada się na cenę, jaką płaci wyobraźnia.

Jako się rzekło, „duch miejsca” nie był wymagany w procedurze wpisu na listę światowego dziedzictwa kulturowego. Gdyby jednak takie wyjątkowe – i pozornie tylko ulotne czy poetyckie – kryterium jak obecność *genius loci* dołączyć do wymagań, jakie Toruń spełnić musiał, to w żaden sposób nie przeszkodziłoby to decyzji UNESCO o historycznym „wpisie”, ponieważ duch miejsca niewątpliwie daje o sobie znać w mieście Kopernika i Lindego, mieście ciągle młodego, bo pięćdziesięcioletniego uniwersytetu, ale za to już od swoich narodzin dojrzałego poczuciem spadkobiercy, dźwigającego w sobie żywą i pielęgnowaną na co dzień i do dziś więź z tradycją lwowską i wileńską. Ducha miasta rozpiera dumą i radością – jeśli wolno sobie pozwolić na taką antropomorfizację – zarówno chęć rozsiedlenia się po jego uliczkach wędrownych, ubogich grajków, studentów kopiujących artystyczną urodę miasta, jak też coraz częstsze wizyty ar-

tystów czy znakomitych literatów, choćby w ramach kolejnego „Festiwalu książki”, czy kulturowanie tradycji konkursów poetyckich jak XII Konkurs „O liść konwalii”; podniecają spory i fety jurorów; tłumy uczestników i adoracje wobec laureatów festiwalu międzynarodowych jak teatralny „Kontakt” czy filmowy „Camerimage”, a tym bardziej oficjalne wystąpienia na Uniwersytecie ekscelencji-ambasadorów, przecierające drogę już nie tyle nam do Europy, ale Europie do jednego z jej mateczników kulturowych.

Duch miasta w Toruniu zdaje się mieć w przededniu nowego stulecia pod wieloma względami swój okres dojrzałości i pomyślności i oby mu nigdy w przyszłości nie zaszkodziły doraźne koalicje i kompromisy polityczne czy partyjne; i on to pewnie spowodował ostatnio wymowną i godną powściągliwość mieszkańców miasta w manifestowaniu pragnienia bycia siedzibą wojewódzką. Ostatecznie u nas akurat wiadomo, że co innego zaświadcza o statusie kulturowym Grodu Kopernika, którego z Gdańskiem (jeśli już nie wspominać o skojarzeniach z „małym Krakowem”) łączy coś więcej niż tylko fakt, że mamy dwa największe kościoły Mariackie, obok krakowskiego, czy dwa wielkie nazwiska astronomów, z gdańskim Heweliuszem. Gdyby nie wcześniejszy „astronomiczny”, kopernikański duch miasta – nie byłoby w Toruniu astronomii uniwersyteckiej rangi, która wykreowała postać Aleksandra Wolszczana i jego głośne na świecie planetarne odkrycia; nie byłoby po prostu, jak to wielokrotnie podkreślała Wilhelmina Iwanowska, porywającego swym romantyzmem powodu, aby onegdaj z Wilna astronomowie osiedlili się właśnie w Toruniu. Kolejny raz historia dała zaskakujący pretekst dla teraźniejszości, otwierający nową dynamikę istnienia. Miasto jest takim bytem emergentnym, wylania się ciągle od nowa dzięki na nowo powstającym możliwościom.

Kolejny raz też okazało się, jak wiele swemu miastu mogą dać jego wielcy mieszkańcy. Tylko czy zawsze o tym włodarze różnych szczebli są wystarczająco skłonni pamiętać i to zanim można odsłaniać pamiątkowe tablice? Prowincjonalność to stan ducha zbiorowości, niezdolnej do odwracania relacji między centrum i peryferiami, jeśli nie umie ona otworzyć się na to, co stanowi o jej wartości kulturowej, co tę wartość ożywia i umacnia. Nawet wielkie i bardziej historyczne miasta, więc i Toruń nie jest tu wyjątkiem, muszą czuwać nad odrostami prowincjonalności, a wielkie wydarzenia czy momenty – a taki z pewnością przeżywamy, nie tylko ze względu na sam akt wpisu na listę dziedzictwa – służyć kolejnemu „odnawianiu znaczeń”, jak to postulowała Maria Janion, nadawaniu im

kształtu i oblicza przemawiających do wyobraźni nowych pokoleń, bo inaczej pokolenia te będą same obchodzić historię dookoła i z daleka, jeśli historia nie będzie ich obchodzić do żywego i z bliska.

W Grodzie Kopernika nie obowiązują nierzówniejsze konwencje czy proste skojarzenia. Toruń to w końcu także jedyne miejsce w kraju, gdzie skrót WSP nie musi kojarzyć się z często (zastrzeźmy się: nie zawsze) odstającymi od „autonomicznej” aury akademickiej wyższymi szkołami pedagogicznymi, w najlepszym wypadku dopiero aspirującymi do miana uniwersytetu, choć bez szans na takie dziedzictwo intelektualne, jakie przypadło Toruniowi. Skrót WSP natomiast odsyła w tym zakolu Wisły do unikatowego nawet wśród uniwersytetów polskich Wydziału Sztuk Pięknych, który w listopadzie 1997 r. uroczyście i z ekspozycjami artystycznymi obchodził dwusetną rocznicę tradycji wileńskich sztuk pięknych. Znakomicie tę rocznicę przybliżyły wypowiedzi Bogusława Mansfelda i Józefa Poklewskiego w numerze 11/97 toruńskiego „Przeglądu Artystyczno-Literackiego”, specjalnie uwypuklającego autentyczne kulturowo „życie tradycji” na styku Wilna i Torunia. To wspaniały przykład tego, jak dochodzi do głosu kulturowy „efekt pogranicza”, nasycania się bogactwem dzięki inności, na którą się otwieramy, a o którym pisałem za Michałem Bachtinem w studium o uniwersalizmie pogranicznych symbioz w kulturze (por. *Uniwersalizm pogranicza. O semiotyce kultury Michała Bachtina w kontekście edukacji*, Toruń 1991). Poza obecnością w czerni i bieli uwypuklonej na okładce urody pieczęci-godła Uniwersytetu Stefana Batorego, dzieła Ferdynanda Ruszczyca, PAL przyniósł w tym samym numerze wileńskie listy Tadeusza Czeżowskiego, w opracowaniu Ryszarda Jadczaaka, niedawno i tak przedwcześnie zmarłego toruńskiego fascynata tradycji lwowsko-wileńskiej w polskiej filozofii. A przecież wcześniej ukazywaliśmy także postaci Henryka Elzenberga, Romana Ingardena; filozofowie toruńscy nadal publikują książki o wileńskiej i lwowskiej filozofii, zwołują konferencje, przywracając życie tradycji myśli, jak ostatnie sympozjum o aktualności i randze spuścizny autora *Kłopotu z istnieniem*. A przecież nie tylko uroczystości, takie jak niedawne wręczenie doktoratu honoris causa UMK dla Henryka Samsonowicza, ale także od lat uznana ranga twórczości toruńskich historyków, unaoczniają, jakie są poziom i głębia oraz powaga akademicka życia historii i życia historią w Toruniu.

Pootwierane nie tak dawno archiwa ciągle mówią nowe rzeczy, nieraz wręcz fascynujące, odsłaniające historyczne i ludzkie korzenie naszego ducha miejsca. To, że jesteśmy ich spadkobiercami, nakłada na nas nie

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNO-LITERACKI

Pał

11(69)

ISSN 1230-9745

TORUŃ Listopad 1997 r. Rok VI Cena 3 zł 80 gr



Wilno i Toruń: 200 lat tradycji sztuk pięknych

Camerimage: bóle narodzin i przyszłość

Stanisław Świątek – Przecena w Paryżu

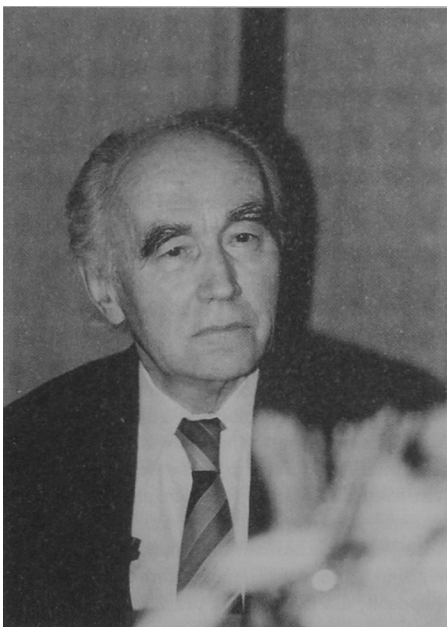
Poeci z Getyngi; Wystawy; Recenzje; Rozmowy

zawsze uświadamiane obowiązki i odpowiedzialność. W kulturze bowiem duch nie tyle się „unoszą”, ile jest ucieleśniany w konkret – od blasku średniowiecznych murów obronnych oświetlonej w nocy panoramy miasta, poprzez starówkowy bruk miejski (ma być decyzją Zarządu Miasta przywrócony – i chwala za to!), ale przede wszystkim po ucieleśniających tego ducha ludzi-postaci kultury i tworzone przez nich zdarzenia kulturowe. Mam tu na myśli chociażby aurę, jaka w murach uniwersytetu i na uliczkach starówki toruńskiej towarzyszy już żywej legendzie Profesora Artura Hutnikiewicza, którego niedawne osiemdziesięciolecie oraz akt odnowienia doktoratu po pięćdziesięciu latach stworzyły okazje (por. PAL, nr 3/96, oraz Głos Uczelni, nr 6/98) poczucia jak wiele miasto zawdzięcza ludziom takim, jak Ona. A jest ich (i było – bo wielu już odeszło) w myśleniu o dziedzictwie i dniu dzisiejszym Torunia jeszcze godne i zacne grono, z doktorem honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika Panią Profesor Wilhelminą Iwanowską na czele. Owacja, z jaką Pani Profesor za każdym razem jest witana w Auli Uniwersytetu, to pokłon wielkiej, wręcz charyzmatycznej w swojej skromności, postaci nauki i uosobieniu żywej ciągłości kulturowo pojmowanej tradycji wileńskiej nauki, przeszczepionej – choć w dramatycznych okolicznościach historii powojennej kraju i z zaangażowaniem losów całego pokolenia – na nasyconą chyba pragnieniem ducha Akademii ziemię kopernikańską Torunia.

Szczególne świadectwo wycucia tego pragnienia „ducha miasta” dał w swojej mowie na zamknięcie VI Polskiego Zjazdu Filozoficznego 9 IX 1995 r. w Toruniu Przewodniczący Polskiego Towarzystwa Filozoficznego Profesor Władysław Stróżewski, żyjący przecież na co dzień aurą krakowską i jagiellońską. Podkreślając, że mówi o sprawie „być może trochę metafizycznej” wyraził to tak – i godne jest to przywołania *in extenso* (por. PAL, nr 11/95, s. 42):

„[...] Zastanawiałem się, chodząc po ulicach Torunia, jak to było możliwe, że tak znakomity Zjazd został tu zorganizowany. I wtedy przyszło mi do głowy, że to najprawdopodobniej zasługa, a przynajmniej współzasługa ducha tego miasta. To jest miasto wymagające. To jest miasto, które doprowadza właściwie wszystko do szczytu – tu jest najwspanialszy gotyk, jaki można spotkać na naszych ziemiach, gotyk przedziwny, łączący jakąś przysadzistą masywność z niezwykłą strzelistością. Ale gotyk nie tylko kościołów, ale kamieniczek, które spotyka się na każdej ulicy, a które nadają temu miastu charakter czegoś niezwykle tajemniczego, metafizycznego, zmuszającego do zadumy.

Profesor
Artur Hutnikiewicz
(fot. A. Skowroński)



I tutaj ten poziom, wyznaczony przez ducha tego miasta udziela się chyba wszystkiemu, co w to miasto jest wkorzenione – bodajże od Kopernika poczynając, poprzez toruńskie pierniki, a kończąc na Uniwersytecie i jego ludziach.

Uniwersytet był instytucją, na którą to miasto najprawdopodobniej czekało, do którego przyjęcia było przygotowane. A Uniwersytet z kolei był wspaniale przygotowany, głównie przez swoich filozofów, do urzędzenia tego Zjazdu. Tak się zamyka ta cała sprawa – myślę, że dziękując organizatorom za ten Zjazd, powinniśmy także myśleć o Toruniu, tak jak przy poprzednim Zjeździe myśleliśmy o Krakowie i duchu tamtego miasta [...]”.

Wręcz znakomitą intuicję kulturową miał Jego Magnificencja Rektor UMK Profesor Andrzej Jamiolkowski, który uznał, że najlepszym spo-

sobem uwypuklenia 50. rocznicy powołania Uniwersytetu będzie zainwestowanie w organizację nadzwyczajnej serii sesji, konferencji, zjazdów i sympozjów naukowych; serii, której w roku 1995 mógł Toruniowi pozazdrościć każdy – także większy – europejski czy amerykański ośrodek akademicki. Nie będzie też przesadą podkreślenie wręcz symbolicznego znaczenia, na skalę europejską, aktu wręczenia doktoratu honoris causa wielkiemu tłumaczowi i promotorowi literatury polskiej w Niemczech Karłowi Dedeciusowi, w obecności rektorów wszystkich uniwersytetów polskich. *Genius loci* kultury i nauki w Toruniu żyje w najlepszej symbiozie z duchem pogranicza kulturowego, otwarcia, przerzucania pomostów, wyciągania dłoni, jeśli już nie po zgodę, to przynajmniej po cudze racje. Nieprzypadkowo przecież miałem okazję zwrócić uwagę w głosie dziekana-ucznestnika aktu wręczenia tego doktoratu na doniosły paradoks, uwypuklony jeszcze przez Waltera Benjamina, że przekłady na niemiecki literatury polskiej są w istocie ... spolszczaniem kultury niemieckiej.

A przecież waga polityki kulturalnej miasta poza środowiskiem akademickim od lat jest wpisana w myślenie władz miejskich, jak dotąd zgola niekoniuunkturalnie, o czym świadczy chociażby uroczyste obchodzona w tym roku dwudziesta rocznica partnerskich stosunków grodu Kopernika z niemiecką Getyngą. A są przecież i inne miasta i kontakty... To jeszcze jeden mechanizm budujący dynamiczny „efekt pogranicza” kulturowego, ukazujący wzajemne promieniowanie i symbiozę różnych środowisk, w sposób, dla którego już przysłowiowy „powrót do Europy” będzie tylko przypieczerowaniem rzeczywistości kulturowej, jaka przetrwała – choć nie bez bolesnych strat szans i cierpień ludzi, wyrw w kulturze – wiele lat. Lista imprez kulturalnych w Toruniu – wielkich i małych, regionalnych i międzynarodowych, kameralnych sympozjów i wielkich kongresów czy festiwali, ulicznych parad czy salonowych gestów „na ratuszu” – sama z pewnością byłaby dłuższa niż niniejsze uwagi.

Poza emfazą zwróconą na spektakularność, w randze i skali, która zawsze w ostateczności pierwsza przyciągnie uwagę historyków za ileś tam lat, ze stosownym dla nich dystansem wobec wydarzeń i epok historycznych, przyszła pora na intensywnie myślenie o nasycaniu dnia codziennego naszej teraźniejszości gęstością doznań kulturowych, dostępną przeciętnemu mieszkańcowi i przyjezdnemu, a coraz bardziej przyciągającą gości nieprzeciętnych i powodującą, że owa lokalna przeciętność będzie lokowała się coraz wyżej w obszarze i skali lanknienia kulturowego, otwierania własnego dziedzictwa na dziedzictwo innych. Nie

jest obojętne miastu, kto chadza uliczkami jego Starówki, przesiaduje w ogródkach kawiarnianych, zagląda do księgarń. Nie jest bez znaczenia, czy uniwersytecki charakter miasta to tylko fakt czysto formalny, czy też autentyczny wymiar zachowania rajców miejskich i profesury akademickiej. Nie może pozostać bez wpływu na losy ducha miasta i jego pozycji kulturowej w kraju i w Europie poziom sporów i konfliktów, jakie przenikają rozmaite kręgi i środowiska twórcze, opiniotwórcze czy tylko opiniodawcze, albo rezonują partykularyzmem i zapiekłościami, czy też zwykłym prowincjonalnym animozjom.

W oficjalnym uzasadnieniu wniosku do UNESCO w sprawie wpisania Torunia na listę dziedzictwa kulturowego znalazł się *passus* – historycznie prawdziwy, choć zarazem kulturowo paradoksalny, przez współcześnie negatywny sens słów: podbój czy kolonizacja – którego współczesnej wersji nie chciałoby się żadną miarą powielać, nawet gdyby była bliska niektórym mediom i ich stylowi oddziaływania kulturowego, ich roli publicznej: „W XII wieku Toruń odegrał ogromną rolę w podboju (chrystianizacji) i kolonizacji Prus”. Historycznie byłoby ważne, aby funkcja oddziaływania i „ogromna rola” także toruńskiego przeciw Radia Maryja nie przyćmiły autentycznej kulturowej rangi odnowienia czy wręcz renesansu toruńskiej tradycji dialogu między religiami, w postaci *Colloquium Charitativum*. To zresztą, co w naszej kulturze cenimy i nagłaśniamy najbardziej, w przeciwieństwie do usuwanego w cień czy w przemilczenie, mówi znacznie więcej o nas samych niż nam się zwykle wydaje. Wspomniane *Colloquium Charitativum*, forum dialogu katolików i protestantów, w obliczu znanych oporów i kłopotów z zaszczepianiem idei ekumenizmu religijnego, ma szansę ogromnie służyć kulturze i być w zgodzie z *genius loci*, ulokowanym w Toruniu dzięki jego wielowiekowej tradycji, choć nie chodzi tu przecież i nigdy nie chodziło o żadną kolonizację ani żaden podbój, nawet ten ubierany we wzniosłą misję chrześcijańską.

Tak jak kiedyś, na losie Torunia i kondycji jego ducha znaczące piętno, także kulturowe, ma szansę wycisnąć fakt, że leżymy „na torze”, na szlaku życiowo ważnych przemieszczeń, z północy na południe i odwrotnie. Tylko tym razem mamy szansę na wpływ jednoznacznie czy głównie pozytywny. Nie będą już chyba gazety centralne (jak „Życie Warszawy” dwa lata temu) pisać w środku lata: „nie przejeżdżajcie przez zakorkowany Toruń”. Rozbudowa autostrady obchodzącej centrum, czego pierwszy zwiastun stanowi most autostradowy przez Wisłę, pozwala odetchnąć miastu – i jego zabytkom, i jego mieszkańcom, i jego wreszcie gościom.

Nowoczesność przychodzi najwidoczniej w sukurs historii, tak jak historia przydaje blasku nowoczesności, nie sprowadzonej do blichtru martwego szkła i betonu. „Duch miasta” w tak zmienionych warunkach ma szansę dać się czytać jak z otwartej księgi, pełnej legend, urzekającej teraźniejszości i nęcącej przyszłości. Baszta „Koci Łeb” po zadomowieniu się w niej – na warunkach pieczołowicie uzgodnionych ze służbami konserwatorskimi – Instytutu Filozofii jest takim wymownym świadectwem nasycaenia teraźniejszości miasta symbiozą z przeszłością, dla nadawania nowych impulsów przyszłości jego uniwersyteckiemu obliczu. Coraz częściej odwiedzający nas filozofowie ze świata zazdroszą atmosfery, w jakiej uprawia się u nas refleksję nad filozofią współczesną. I takich przykładów oby jak najwięcej dla uobecniania i umacniania toruńskiego *genius loci*. Nieprzypadkowo jeden z uczestników ostatniego Zjazdu Filozoficznego, pastor z Niemiec, wyznał mi na pożegnanie, urzeczony aurą miasta i jakością Zjazdu, że marzyłby, aby przy wjeździe do Torunia witały go wielkie napisy, przełożone dalej na estetykę innych gestów – nie tylko turystycznej natury – w codzienności miasta, na wzór aury niektórych miast niemieckich: „Witamy w Uniwersyteckim Mieście Torunia”. Kraków jest miastem królewskim, a poza nim żadne inne miasto w Polsce nie ma takich racji historycznych, aby zdobyć się na takie uwypuklenie jego spełnionej tożsamości kulturowej.

Tym bardziej tak bardzo bołą także w Toruniu dające o sobie znać lokalne małości, partykularyzmy, jałowe spory i antagonizmy, niepozorne w skali, choć często groźne kulturowo gesty i zachowania ludzi z układów, bodaj czy nie będące skazą w każdym środowisku. Tym bardziej tak niezwykle cieszą kolejne lokalne inicjatywy i pomysły w kulturze, śmiało otwarcia naszej „małej Ojczyzny” kopernikańskiej na świat; tak ważą niepozorowane dofinansowania, często większe niż gdzie indziej, choćby i o rozmiarach na miarę możliwości, czy gesty doceniania przez władze akademickie i samorządowe potrzeb kultury, ludzi kultury i nauki. Tym bardziej cieszy, że niedawny wpis na listę dziedzictwa kulturowego dopełnia zadawany fakt wpisywania się Torunia jego realnymi kontaktami i działaniami w międzynarodową przestrzeń żywej teraźniejszości kulturowej. Ta zawsze żywi się autentycznym oddechem dziejów, jak na uliczkach Starego Miasta w Toruniu. Choć należy pamiętać, że jak to trafnie zauważył Władysław Stróżewski, „*genius loci* jest wymagający”, trudno go zadowolić; nigdy więc nie pozwoli nam spocząć na laurach, nawet tak spektakularnych jak firmowane przez UNESCO.